№ 14.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 5. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Dawniéj w Poznaniu trzymano się, a przynajmniéj tak od roku 1831. do roku 1840. bardzo ściśle zasady, że powóz, konie i liberye nikomu nie przydadzą godności, jeżeli jéj niema w sobie: jeżdżono więc bez błyszczydeł, nikt niewidział służącego z niemiecka w kamaszach i niebyło strzelców z koronami szlacheckiemi i cyframi po kołnierzach — żeby każdy z daleka poznał, iż pan uważa ich za swoję własność, że żyją jeszcze zasady niewoli, że nawet stanowią słodką nie dla jednego serca pamiątkę. Podczas zjazdu Świętojańskiego w ostatnich dwóch upłynionych latach Poznań znowu dobrze pokazywał, że leży w środku Europy, że do niego spływają zasady średniowiecznéj arystokracyi i azyatyckiego chanizmu: było więc niemało służących w różnobarwnych frakach, herbów po karetach, na wieczorach kobiet wybrylantowanych, co gwarząc po francuzku, świeciły kupnym blaskiem, jako prawdziwe świętojańskie robaczki. Zdaje się, że teraz wraca czas rozmysłu, który po r. 1831. widocznie się okazywał: liberye, klejnoty znikają i ludzie bogaci i ubodzy chcą tylko w sobie szukać wartości. Zjazd zatém w tym roku niebłyszczał wcale i we wszystkiém było widać ślady głębszéj myśli. Zabawy huczne i głośne dawniéj, skończyły się na jednym skromnym podwieczorku w Dębinie. Wyścigi konne, które zwykle niejednego nabawiały znacznych kosztów, tego roku odprawiały się z widoczną oszczędnością, bez krzyku i przechwałek. Młodzież robiła wprawdzie zakłady — boć nie jest nic nagannego przejechać się konno, zabawić w gronie przyjaciół; ale bynajmniéj nieokazywała, że galopowanie w zawody za coś ważnego uważa. Owszém zapał do sztuk pięknych zastąpił dawniejszy zapał stajenny. Mieliśmy koncert na fortepianie, teatr amatorski, koncert na skrzypcach. Prawda, że we wszystkiém tém było widać tylko dilletantyzm, ale we wszystkiém przebijało się dążenie do czegoś dobrego; cel piękny, a to rzecz najważniejsza. Niektórzy chcą utrzymywać, że wszystko dobre wynikało z pomysłu ludzi, nie w naszéj stronie urodzonych, lub z dawna zasiedziałych — ale mniejsza o to, dosyć, że się u nas działo, przy naszéj pomocy; pocóż tam wyjeżdżać z tym patryotyzmem powiatowym, parafijańskim.

To prawda, że w Poznańskiém wielu ludzi, coby mogło działać, odwołuje się na swoje uczucia i powiadają, że jak przyjdzie pora, to już tam staną gdzie i drudzy. Przecież do czynienia dobrze każda minuta jest porą. Cóż znaczą uczucia, jeżeli się nie objawiają jako czyn? Któż może wiedzieć, co tkwi wewnątrz w każdéj wierzbie nad drogą, ale to każdy wie, że wszystkie wierzby tylko stoją i nic nie robią. O gdyby nasi ludzie, mogący pracować, wiedzieli, że my mamy stanowisko, z którego nietylko na kraje dawnéj Rzeczypospolitéj Polskiéj, ale na całą Słowiańszczyznę można najskuteczniéj rozszerzać światło, wpływać na ducha — zapewne ocknęliby się z letargu, zapewne wspieraliby inaczéj usiłowania małéj liczby mężów, co czas zrozumieli, co chcą dobrego, co sił nieszczędzą.

Co ją jeszcze wiązało?

POWIEŚĆ L. SIEMIEŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Tu Marya upuściła pióro: poryw myśli zaniósł ją do przeciwnego postanowienia, które czyniło cały

list niepotrzebnym. Jak to częstokroć się trafia, boleść nasza, szukając ulgi i pociechy, obleciała szerokie koło mąk moralnych, i powróciła do punktu, z którego wyszła.

Ze zniweczeniem i téj drobnéj pociechy wynurzenia swych udręczeń, odbiegła ją reszta odwagi; twarz utuliła w niedokończonym liście, i zalała się łzami.

Wszakżeż i to przeszło, jak tyle innych udręczeń; źródło łez wyczerpane, ustało, a ból przesilony tylą wstrząśnieniami, ukoił się. Marya wstała, otworzyła drzwi na balkon, i oparłszy się patrzyła na miasto.

Dnia wczorajszego odprawiła była pannę służącą — lokaj wyjechał z panem, który właśnie dawał huczny podwieczorek za miastem — została tylko wiejska dziewczynka w garderobie — tak więc Marya na cały dom była prawie sama jedna. W usposobieniu swém umysłowém ani pomyślała o żadném niebezpieczeństwie, na jakie mogła być wystawioną w téj oddalonéj części miasta. Niebo wypogodzone skrzyło się gwiazdami — z po za góry zamkowéj wschodził księżyc w pełni — lekka mgła, niby pajęczyna, czepiała się gmachów i wież kościelnych — a bliżéj ogród pojezuicki posyłał jéj wszystkie wonie drzew rozkwieconych....

Kogo innego widok ten byłby snów majowych nabawił, byłby mu zdjął chmurkę z czoła, z serca drobny ciężar tęsknoty — ale dla Maryi najpiękniejsze powaby wiosny były już za słabém lekarstwem. Jednakże nito dawna przyjaciółka, długo wpatrywała się w tę ujaśnioną pogodę nocy, jakby pragnęła wciągnąć w siebie choć jeden promyk — ale gorycz przykrego wspomnienia znowu ścisnęła serce, które mimowolnie porównywać się zaczęło z tym czarującym spokojem natury.... Niemogła dłużéj wytrzymać, ten blask ją raził — wróciła więc znów do salonu przychylając żaluzye od drzwi śklannych, wychodzących na balkon.

W pokoju było ciemno i duszno; ze dworu żaden blask się nieprzekradał; nieszczęśliwa czuła się swobodniejszą w tych cieniach zgodniejszych z jéj posępną rospaczą. Toż nieznachodząc w koło siebie żadnego przedmiotu któryby jéj przypominał rzeczywistość bytu tak opłakanego, poddała się owéj tęsknicy nieokreślonéj, usypiającéj, jaka zwykle następuje po wielkich paroxyzmach, lub strapieniach.

Może od półgodziny zostawała w kątku sofy, w tym stanie otrętwienia, gdy szmer niespodziany ocucił ją: podniosła oczy; jakiś cień rysował się między szczelinami żaluzyi balkonowych, które nagle rozwarły się, i jakiś człowiek wpadł do salonu.

Marya skrzyknęła; nieznajomy stanął jak wryty.

— Czy tu jest kto?! zapytał.

I już krok zrobił ku oknu jakby szukał odwrotu, lecz w ciemności potrącił Maryę, która zerwała się z sofy chcąc także uciekać.

— Dla Boga! krzyknęła Marya.

— Milcz! mówił nieznajomy ściskając zęby; milcz, jeśli ci życie miłe.

Marya ucichła i drzwi szukała omackiem. Ów człowiek, oswoiwszy cokolwiek oczy z ciemnością, postrzegł to, i zastąpił jéj drogę.

— Słuchaj — mówił — nielękaj się niczego.

— Puść mię! — odpowiedziała Marya.

— Niewyjdziesz ztąd, przestrach twój mógłby mię zdradzić; słuchaj mię tylko, a włos ci z głowy niespadnie.

Marya cofnęła się z przestrachem.

— Kto jesteś, i czego żądasz? spytała.

— Przechowaj mię. Uciekłem z więzienia. Najdrobniejsza nierostropność może ich na mój ślad sprowadzić... Na Boga zaklinam cię pani, nie gub mię!

Głos nieznajomego był tak przenikający, tak błagalny, że Marya odzyskała przytomność umysłu, a z nią odwagę; wyobraźnia jéj ruchliwa, bystra, zapalała się od lada iskierki, — ztąd też pierwsza obawa ustąpiła miejsca troskliwości o los więźnia.

— Odemnie niemasz się pan niczego lękać — rzekła — lecz w jakim zamiarze tu wpadłeś?

— Widząc ten dom cichy i pozamykany, sądziłem, że w nim nikt niemieszka, i dla tego chciałem się w nim przechować.

— Więc cię szukają?

— Słyszysz!... przerwał raptownie nieznajomy chwytający ją za rękę.

Rzeczywiście w téj chwili dał się słyszeć od ulicy zgiełk pomięszany; niebawem mogli rozróżnić krok mierzony żołnierzy, i szczęk broni; był to patrol wysłany za zbiegiem... Przeszedł niezatrzymawszy się; więzień odetchnął, na palcach poszedł ku oknu, uchylił żaluzyi, i patrzał w którą stronę udali się żołnierze.... W téj chwili promień miesięczny oświecił jego ubiór.

— Kryminalista! zawołała Marya z wzdrygnieniem.

Więzień przymknął żaluzię.

— Kryminalista, ale nie zbrodniarz; odrzekł spokojnie.

Marya odsuwała się od niego bez odpowiedzi.

— Rozumiem cię pani — mówił daléj — spodziewałaś się ujrzeć we mnie jednego z tych winowajców których zbrodnia nie jest bez sławy? Ta sukienka wywiodła cię z błędu. Niechcę korzystać

z litości wyciśniętéj podstępem. Bądź tylko cierpliwą; skoro się pogoń oddali, pójdę gdzie indziéj szukać przechowku.

Wyrazy te wyrzekł z taką rzewną godnością, że Marya czuła się zawstydzoną, i zapytała z troskliwą obawą:

— Szaleństwem byłoby się narażać, a nużby schwycili?....

— Mniejsza oto, byle mię żywcem niewzięto. Długo i cierpliwie dźwigałem więzy, pókim ich nierozerwał; — teraz łyknąwszy świeżego powietrza, poczuwszy się panem swéj woli, wolę zginąć, niż wrócić pod bat dozórcy...

To silne postanowienie przemówiło do jéj uczucia.

— Cóż mogę dla pana uczynić? zapytała.

— Przechować mię tę noc i jutro jeszcze, póki się nieuspokoją; potém już sobie dam radę.

— Gdzież się pan udasz?

— Do Krakowa.

— Tam wcale nie jest bespieczno, zwłaszcza od jakiegoś czasu; my sami musieliśmy to miasto opuścić.

Nastało milczenie. Marya gubiła się w domysłach. Więzień zdał się zamyślać głęboko.

Więc pani mięszkałaś dawniéj w Krakowie? zagadł ciekawie.

— Mięszkałam.

— Nieznałaś tam pani przypadkiem panny Oświecimskiéj?

Marya drgnęła — i wpatrywała się w pytającego, chcąc rysy jego rozpoznać w otaczającéj ich grubéj ciemności.

— Znałam — odparła głosem pomięszanym — znałam; zkądże to pytanie?

— Czy jeszcze bawi w Krakowie?

— Bawiła do niedawna — ale chciéj mi pan powiedzieć, jaki w tém masz interes? — osoba ta mię obchodzi.

Więzień milczał, dopiero po namyśle ozwał się:

— Jeżeliś pani znała tę osobę, zapewne i moje nazwisko jéj nieobce?

— Jakto?

— Jestem Jan Rawicz...

— Kto? pan!! — skrzyknęła Marya odskakując.

— Widzę żeś pani o nim słyszała — mówił więzień tonem gorzkiego smutku; obwiniono mię, żem ją chciał okraść i zabić, sąd potępił — zapewne uwierzyła temu, jak uwierzyli wszyscy...

— Więc to nieprawda? zapytała Marya z żywością.

Więzień nieodpowiedział; tu znowu długa nastała przerwa w rozmowie, w czasie któréj żałośne łkanie obiło się o jéj uszy.

Są boleści przed któremi najsilniejsze nasze przekonania lub uprzedzenia muszą się kruszyć, — nie głośne, nie poetyczne, — a przecież serce umie je odgadnąć, ocenić. Częstokroć najwymowniejsza obrona, uniewinnienie się, nierobi skutku, nie przekonywa; a jedna łza pomięsza twój sąd, i rzuci cię w niepewność; tego samego doświadczyła Marya.

— A jednakże — mówiła jakby w odpowiedź wątpliwościom zadawanym sobie wewnętrznie — a jednak pana schwytano w moim pokoju, znaleziono sztylet...?

— Wszystko mię oskarzało, — a przecież....

— Dokończ pan.

— A przecież... ani mi się śniło o zbrodni.

— Czy to być może! zawołała Marya.

Postrzegłszy, że się niestarał uniewinniać — nalegała:

— Zaklinam pana, objaśnij mię.

— I na cóż? my potępieńcy niezawszeż utrzymujemy, żeśmy niewinni?... któż pani zaręczy, że niezmyślam jak drudzy?

— Mów pan tylko — będę mu wierzyć.

Więzień wstrząsnął głową.

— Opowiadanie moje, może się zbyt dziwném wyda. Czym zasłużył na to, co znoszę, czy nie — cóż ją to może obchodzić? — Niemam żadnego prawa do jéj udziału... Jedna jest tylko osoba, którąbym chciał wywieść z błędu...

— Któż taki? jeśli wolno zapytać.

— Ta sama, przez którą cierpię.

— Panna Oświecimska?

— Tak jest; muszę ją widzieć — muszę odszukać, choćby na końcu świata.

Mój Boże, cóżbym niedał, aby o całéj prawdzie wiedziała!

— Przezemnie o wszystkiém się dowie — mów pan tylko.

Więzień podniósł głowę, jakby w niego nadzieja wstąpiła:

— A więc ją pani zobaczysz? jakie szczęśliwe spotkanie!

— Najniezawodniéj zobaczę...

— I wiernie wszystko opowiesz, w razie gdybym jéj nieznalazł?

— Najwierniéj.

Tu zakrył twarz rękoma.

— Dobrze — dodał po chwili — wyspowiadam się z moich tajemnic przed panią — proszę tylko

pamiętać na dane przyrzeczenie... Kto wie! — ona jedna — ona może wyznaniom moim da wiarę!....

V.

— Lata dziecinne spędziłem w domu dalekich krewnych, którzy mię wzięli na opiekę. Ojciec mój bowiem, gdym miał lat cztéry poległ w bitwie pod Lipskiem, a matka w rok potém umarła z piersiowéj choroby. Od chwil za tém najmłodszych byłem zostawiony samemu sobie, osierocony z uczuć rodzicielskiego przywiązania, które zastępywała obojętność opiekunów i skąpa łaska połączona z codziennémi nieledwo wyrzuty. Możesz więc sobie pani wyobrazić jak charakter mój od samego początku osnuł się melancholią, i tęsknotą; jak wesołość i pustoty złotego wieku opuściły mię w starciu się ze światem; bo jeszcze nieodnikłszy od ziemi przemyśliwałem o zrobieniu sobie niepodległego bytu.... W siódmym roku oddano mię do szkół publicznych, resztkami pozostałéj po matce spuścizny opiekun opłacał utrzymanie, co trwało, gdym dorósł do lat piętnastu; wtedy — pamiętam, przy końcu wakacyi — oświadczył mi, iż fundusik szczupły zupłnie się wyczerpał, że muszę oddtąd myśleć o sobie, że radby z swojéj kieszeni opatrywać moje potrzeby, ale obowiązki dla własnych dzieci, przytém złe lata na dzierzawców, czynią ten chrześciański uczynek zupłnie niepodobnym. Wiele jeszcze prawił o wdzięczności za podjęte starania o mnie, o potrzebie przykładania się do nauk i akkomodowania starszym, i tysiąc morałów płaszczszych jedne od drugich, a kosztujących mało, jak wszelki obrok duchowny. Podziękowałem z wzruszeniem i radością w duszy; czułem się bowiem wolnym od przykréj opieki, od ustawnego zrządzenia i wymówek, a ceniąc lekko, jak każdy młody, takową przemianę fortuny, roiłem sny złote o przyszłéj niepodległości. — Opiekun tyle był uprzejmym, że mię odesłał własnemi końmi do miasta gdzie były szkoły, na odjezdném, wcisnąwszy w rękę zawinięte w papierek pięćdziesiąt złotych, które były ostatnim funduszem na dalsze utrzymanie. — Szczęściem dla mnie, przyzwyczajony słyszeć od dzieciństwa, że niemam majątku przytém zawsze skąpo opatrywany, instynktowie uczułem potrzebę przykładania się do nauk, przez co zarobiłem sobie na szacunek u professorów, a wziętość u współuczniów; to wszystko przydało mi się nieskończenie w téj krytycznéj chwili. Poszedłem do rektora, przełożyłem mu stan mój z całą ufnością, a że to był człowiek szlachetny i wyrozumiały przyrzekł mi wystarać się kondycyą domowego korrepetytora. Za parę dni gdy się liczniéj studenci zjechali, wszedłem w dom pewnego obywatela, gdzie oprócz stancyi i wiktu, kilkadziesiąt złotych wpływało do kieszeni. Tym sposobem skończyłem szkoły wojewódzkie; tym sposobem zacząłem i uniwersyteckie nauki w Warszawie, pracując od rana do nocy, już to na kształceniu siebie, już na dawaniu godzin matematyki w któréj celowałem. W stolicy, gdzie łatwiejsze są środki zarobkowania, mógłem utrzymać się s samych lekcyi, nieprzyjmując obowiązku domowego nauczyciela, co mię czyniło o sto procent niepodleglejszym, a tém samém szczęśliwszym. Nigdy nieprzepomnę z jakiém uniesieniem przechadzałem się pierwszy raz po izdebce pod strychem, którą nająłem za grosz zapracowany; z jakim smakiem jadłem obiad zapłacony złotówką, którą dostałem za moją łacinę! — Wszystko to są drobnostki mogące panią nudzić, ale kiedy człowiek raz wpadnie na trop przypomnień, wtedy niepodobna uniknąć cisnących się obrazów.... Przez te kilka lat życia podzielonego między mozolne prace i obszérne nadzieje, parę drobnych na pozór wypadków, ogromny wpływ wywarło na dalsze moje koleje.... Są to szczegóły błahe, ale dla mnie stanowiące epoki; dobrze ktoś powiedział: że w życiu samotném uczucia są wypadkami. — Owoż każdy z tych wypadków obudził we mnie szereg uczuć tak pełnych, tak silnych i głębokich, że jeszcze żyję niémi, chociaż niejedna burza przesunęła się po nich, i wyłamała najpiękniejsze kwiaty.... W nas, mężczyznach zwykle późniéj i tępiéj rozwija się świat uczuciowy; — kiedy dziewczyna piętnastoletnia staje się skończoną kobietą, chłopiec w tym wieku jest jeszcze zimnym pedantem lub pustakiem; — w dziewiętnastym i dwudziestym dopiero dusza jego zaczyna promienić, z biernéj stawać się czynną, wszystko ogarniać i przenikać, tém samém trącać o same przeszkody, burzyć je, i z tych ruin tworzyć sobie ideały sztuk, rządów, narodów, bohatyrów i kochanek.... Ta jutrznia ducha zaczęła się była i dla mnie; — nieobudziły ją ani uczone księgi, ani uczeńsi od ksiąg nauczyciele, ale traf, który mi rzucił w rękę dwa drobne tomiki poezyi boskiego Adama. Dziady zrobiły ze mnie nowego człowieka... Hymn do młodości, dokonał reszty... Ja, com o niczém nieśnił jak o stopniu magistra, a potém o jakim skromnym urzędzie administracyjnym teraz miałem zrenicę rosrzérzoną na drugą płci naszéj połowę, na naród, na ludzkość.... Tęskniłem po całych dniach i nocach za drugą Marylą o błękitném oku, złocistych włosach; umyślnie wybiegałem do saskiego ogrodu

w chwilach, kiedy najpierwszy ton stolicy używał przechadzek, i utajony za drzewem szukałem tego ideału pod najmodniejszą sukienką, piórzastym kapeluszem, i najbogatszym szalem.... Ileż niewyrzuciłem spojrzeń długich, i palących jak soczewka; ileż nieposłałem westchnień od których drzały tylko liście kasztanów, a nie serca!... Darmo! jeżeli nie obojętność, uśmiech szyderczy czytałem na twarzach, który zdał się pogardliwie mówić: Student, niech pilnuje książki! — Rozczarowania dokonało kilka numerów frankfurckiego dziennika mód; — rzucę okiem: — a tam, te same ideały saskiego ogrodu; te same martwe, ubielone i poróżowane lica, cały ich język i dusza w kroju i barwie.... Łzy mi się zakręciły: cóż mi po tych lalkach, których spojrzenie niezatrzyma się nawet na moim błękitnym, wytartym surducie? dla których potrzeba stać się taką samą lalką, tak się krygować, tak samo szczebiotać z francuzka. — Przekląłem je! — długo, długo niewychodziłem na miejsca publiczne, woląc z mego poddasza szukać po sąsiednich oknach jakiéj cichéj, niewinnéj piękności — otóż jak mówi wieszcz:

Znalazłem ją nakoniec,
Znalazłem ją blisko siebie,
Znalazłem....

Jeszcze pytanie, czym utracił na wieki? — Przeczucie mówi, że się zobaczym, bodaj w ostatniéj godzinie, że się połączym, bodaj nad grobem....“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BARKI.

(Dalszy ciąg Osteologii.)

Starożytni o Atlasie fantastyczną nader opowiadali powieść mitologiczną. Miał to być syn Tytana Japeta i matki Azyi, ktora znów była córką Oceanu. Gdy dorosł w olbrzyma takiego, jak ojciec, miał udział w buncie Tytanów przeciw Jowiszowi, i piorunowładny monarcha nieba i ziemi, wskazał go za to po wieczne czasy, aby niebiosa, mieszkanie Bogów, dźwigał na barkach swoich. Długo nieborak stękał pod ciężarem bez nadziei, aż w tamte strony zabłąkał się Herkules, nieprawy syn Jowisza, szukając złotych jabłek Hesperydów. Kiedy się zapytał Atlasa, gdzieby ich dostał, obudził się w Tytanie naturalny dowcip: „Pójdź, rzecze, synu Alkmeny, weźno na chwilę niebo na swoje barki, a ja ci jabłek poszukam i zerwę.“ Zwolniwszy się z ciężaru niebieskiego, nie czuł się od swobody, i nie miał ochoty wrócić i zluzować Herkulesa. Prosił mu się, modlił, obiecywał, ale nadaremnie. Więc i on się do fortelu uciekł: „Dobrze, powiada, dałem się złapać, będę dźwigał za cię niebo, wszakże pozwól, niech sobie przynajmniéj poduszkę na barki podłożę, bo mi niesłychanie ciężar dopiera; pójdź, stań tymczasem pod niebem, a ja ci daje słowo moje rycerskie, jakem syn Jowisza, że wrócę, i ciężar z ciebie zdejmę. Dał się uwieść syn Japeta i litością i słowem, ale jak tylko wziął na barki niebo, już Herkulesa nie ujrzał; już bowiem wtenczas znano się na późniejszéj loice, że słowa, które ktoś daje przymuszony, dotrzymywać nie potrzeba.

Hezyod w Theogonii dodaje, że w pobliżu Atlasa były mieszkania Hesperydów, pięknych strażniczek złotych jabłek, by ich śmiertelni nie zakosztowali, i stał pałac nocy. Biedny Atlas ożenił się potém z Plejoną córką Oceanu, i miał siedm córek. Jowisz je po śmierci przeniósł do nieba, i błyszczą na firmamencie jako Plejady na karku Byka.

Gdyby kto chciał na stosunki ludowe allegoryą ułożyć, nie mógłby jéj lepiéj oddać i wykończyć, jak ją tu znajdujemy gotową w téj powieści mitologicznéj. Lud Azyi olbrzymi, jak ojciec jego Tytan, rozległy i nieprzejrzany jak Ocean, dziad jego; — on, który z dziada i z matki prawem spadku jest panem ziemi i morza; dźwiga na barkach swoich trony satrapów, szachów i szejków, owe niebiosa roskoszy władców. Z jednéj strony łudzą go zwodnicze nadzieje, strzegące, by nie zakosztował wiedzy owocu zakazanego, z drugiéj gruba ciemność roztoczyła przed nim pomrokę. Jeżeli się wybił na chwilę z jarzma i niewoli, dał się oszukać i jeszcze prędzéj wpadł znowu do dawnego stanu, i uwiązł w nim na długie wieki. Nie urodzi mu się syn, coby wyrosł na męża wolnego, ale same rodzą się córy, słabe, córy cierpliwości, i siedmiu boleści, jak niegdyś córy Adamowe, po wypędzeniu z raju. Dopiero po śmierci zabłyśnie im tryumf męczeństwa. A i tu, na wieczne czasy godło ich niewoli przybite do sklepień niebieskich, kark byka, którym w jarzmo wprzężony ciągnął. — Taki jest stan ludów w Azyi. Ale czy nie taki wszędzie?

W takim samym stosunku upośledzenia znajdują się barki w ustroju kościowym człowieka. Jest to tylna jego ściana, na którą nikt nie zważa, przodek, niby ozdobny front domu, mając tylko na widoku. W całéj społeczności ludzkiéj widzisz same twarze, przodki ciał, a tyłu człowieczeństwa nie widzisz, jest to massa kościowa, martwa, sama sobą nie władająca, ale będąca na skinienie przodku, czyli to, że jéj każe

się nagiąć do ziemi i spałączyć na stopień niewolnicze barki, z któregoby Padyszach dosiadł konia z wygodą; czyli też każe jéj się wyprostować, i dumnie potrząsać głową.

Sam człowiek nie dba o tę tylną połowę ciała swojego, bo, by téż i najbardziéj naddał i nakręcił karku, obaczyć jéj niemoże. Jest to pałac nocy w jego ustroju, w pomroku zapadły, a ogrody Hesperyjskie ze złotémi jabłkami leżą przodkiem.

I jakże, więc żadnego a żadnego nie mają znaczenia te barki pleczyste? — Oto sztuka piękna niemi się zajęła. Snycerz i malarz robi je przedmiotem najtroskliwszych badań i ćwiczeń swoich. Oni to rozmiłowują się, w tém arcydziele bóstwa, w tym ideale siły męskiéj, owych kościach rozłożystych w potężne dźwignie, owych wygięciach i zwojach muskularnych, rozpierających się po obu stronach kości pacierzowéj, i za każdém jéj ruszeniem, w nowe symetryczne układających się położenia, a wszystkie tak zaparte, tak silne, że zda się, iż te barki istotnie niebiosa podnieśćby potrafiły. A zatém sztuka, ta córa nieba i wolności, uszlachetniła to, co było pośladem ciała ludzkiego, i podniosła Herkulesowe pleczyste barki do poszanowania i podziwu. Chcesz więc oddać w sile męża, oddać go musisz od strony bark i pleców; chcesz zatem oddać w sile naród, oddaj go i ukaż od strony massy ludowéj, bo to jego barki szerokie, jego dźwignie potężne. Niemi to ruszył Samson słupy sklepień i w gruzach zagrzebał siebie i Filistynów. — W téj massie na pozór nieruchoméj i upośledzonéj leży mlecz narodu, jak w kości pacierzowéj, co się środkiem pleców ciągnie, i do samego muzgu sięga, na niéj wspiera się głowa narodu, i wszystek przodek w nie, jak w żebra ujęty.

Skrzywieniem kości pacierzowéj jest garb, będący upośledzeniem postaci człowieka. Dzieci nie rodzą się garbate, ale powstają te narosty z przełamania dziecka, kiedy je jeszcze niedbałe mamki lub niańki doglądały, albo też z innego jakiego szwanku. Takim garbem w społeczności jest niewola, wszelkiego rodzaju. I ludu Bóg nie stworzył z garbem niewoli, ale jego opiekunowie mniemani, za lat dziecięcych, przełamali go, na szwank kości pacierzowéj narazili, i z ludu porosły dromedary jedno- a często dwugarbowe. Ładują więc towary na niego, i kupiec właściciel z całą familią swoją i służbą go obsiada, miękko siedzenia wyściela, i nosić się każe. W przypadku spieki na puszczy, gdy braknie wody, wiedzą oni, że ich dromedar ma napój zdrowy i czysty w żołądku, musi więc paśdź ofiarą zwierz, by zagasił pragnienie i uratował pana właściciela swego.

Atoli Nemesis dziejowa pomściła się za tę krzywdę ludowi wyrządzoną. Ci wszyscy, co go osiodłali, niby garbatego dromedara azyatyckiego, sami przeobrazili się na w i e l k i e b ł ę d y, t. j. na w i e ł b ł ą d ó w, już nie o jednym albo dwu garbach, ale o mnóstwie garbów. Przemiany Owidyusza nowożytnego, miałyby tu obszerne pole i materyą. Każdy z celniejszych dźwiga na sobie garb, czy to tytułu, czy urzędu, czy majątku, czy rodu, czy jakiéjkolwiek w y n i o s ł o ś c i, i pyszny z siebie, nie wie o tém, że każda wyniosłość jest garbem, a na kim wyrosła, że jest wielbłądem, którego można osiodłać, jak każdego innego dromedara. Kto ma oczy ku widzeniu, widzi massami takich wielbłądów pomiędzy ludem, stępujących poważnym krokiem, noga za nogą, z głową podniesioną, karkiem dumnym niezgiętym, a garbem na grzbiecie. Są oni, jak te wielbłądy, których Włosi oprowadzają po wsiach i miastach wraz z niedźwiedziami, chłopcy walą w bębenki i gwiżdżą w piszczałki, wśród téj szatańskiéj muzyki Włoch raz poraz krzyknie komendą, wielbłąd się obraca na wsze strony, klęka na przednie, na obie nogi, liże ręce pana; a gawiedź ludu otacza ich, patrzy, śmieje się, dziwi — ale tandem za to widowisko grosze zapłaci. O wyniosłości społeczeństwa ludzkiego! że się to nie postrzeżecie, iż jesteście w niéj tylko zwierzem garbatym, i dajecie się na widowisko ludowi; ale podobno lud za to Włochowi płaci, a Włoch was karmi i poi!

Nakoniec opuszczając barki; jeszcze jedna nauka osteologiczna. One są tyłem człowieka, ale dla tego nie są pośladem, bo są jego siłą, mocą i fizyczną potęgą. Przodkowi ustępują siły rozumu i przewodnictwa, i opasują go i bronią silnémi muskuły i żebry. Niech więc między niémi nie będzie pogardy i zawiści. Niech tył szanuje przodek, a przodek ma tył w poszanowaniu. Przodek prowadzi, ale niech prowadzi dobrze, odważnie, z rozumem i wiarą, to i tył pójdzie za nim. Pamiętajże przodku, przewodniku całego ciała, żebyś idąc naprzód, nie cofał się, bo gdy się ty zwrócisz, i ramiona i barki i plecy, wszystko to tył poda. Ale i wy pamiętajcie barki, że nigdzie niezajdziecie, gdzieby was przodek nie zaprowadził.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania.

Przyjaciele narodowości ciągle się krzątają około utrzymania teatru polskiego, upadkiem oczywiście zagrożonego. Będzie to jeszcze niemało kłopotu i po-

dobno na próżno. Wszystko rozbija się o to, że nie ma oddzielnego domu. Poznań, a szczególniéj Poznań polski, stoi tylko na zjazdach szlachty podczas Ś. Jana, karnawału, wełnianego jarmarku — i na zjazdach nieperyodycznych, jak sejmach, walnych zebraniach Towarzystwa kredytowego i t. p. Ci goście ze wsi nieczynią różnicy między złotówką a talarem, nieróżnią dukata od lujdora — przynajmniéj w bardzo znacznéj części. Mieszkaniec zaś miasta musi być rad nierad bardzo oszczędnym. Gdyby teatr polski miał dom oddzielny, gdyby mógł grać codzień podczas zjazdów, a z cenami miejsc podwyższonemi, natenczas na karnawał mógłby zarobić ze cztery tysiące talarów, na wełniany jarmark ze dwa, a na Śty Jan ze sześć tysięcy. Reprezentacye dawane dzień w dzień podczas zjazdów zapewniłyby utrzymanie artystom na rok cały. W teraźniejszém położeniu rzeczy — podczas Śgo Jana, w ciągu dni dziesięciu, teatr polski dał tylko dwie reprezentacye, i to pierwszą na początku, gdy zjazd był bardzo jeszcze niezupełny. Zamiast więc w téj korzystnéj porze zarobić sobie utrzymanie na jakie cztery miesiące, alboli pół roku, to je zarobił sobie może na tydzień. Miasto nasze już próżne i musi się rozpocząć gra przed próżnemi ławkami. Niewątpliwą jest rzeczą, że trzeba albo pomyśleć o oddzielnym domu dla teatru polskiego, alboli dać wszystkiemu pokój, bo to będą tylko usiłowania krótsze lub dłuższe, ale zawsze takie, które muszą uledz nieprzyjaznym okolicznościom.

— We Wrocławiu wyszedł poemat „Matka bohatérka", napisany przez Norberta Bredkrajcza.

Z Warszawy, 3. Lipca.

U was w Poznaniu, snadniéj zostać hrabią, albo szambelanem, aniżeli uzyskać konsens na wydawanie pisma peryodycznego. Po dwuletniéj korrespondencyi najpospoliciéj zawita odmowna odpowiedź. Literaci polscy gdzieindziéj zamieszkali, kują zawsze projekta na pisma, któreby powinny u was wychodzić, a niebiorą całkiém w rachunek okoliczności miejscowych; trudności w uzyskaniu pozwolenia od rządu. W Warszawie tylko cenzura ściśle pilnuje przepisów, ale pism może się zjawiać bez liczby, choćby swą mnogością przechodziły ziarna piasku na pustyniach, krople wody w morzu, a gwiazdy na niebie. Dla tego co rok powstają i znikają Tygodniki i Dzienniki. Teraz Władysław Wojcicki zamyśla wydawać Tygodnik polski: będą w tém piśmie przeważały artykuły tyczące się dawnéj Polski. Dziennik krajowy, pismo polityczno-literackie, robi wiele hałasu, ale jego sława pewnie niedługo przeminie, bo nie potrafi się wesprzeć na gruntownéj nauce, a błyskotki każde snadno ześniedzieją i pokruszą się w próchno. Redaktorem jego jest Witte, a głównym spółpracownikiem August Wilkoński. Bohdan Dziekoński wyda wkrótce Jaskółkę, niby noworocznik, złożony z prac saméj świeżéj młodzieży: będą tam rzeczy Czajkowskiego, Edwarda Dembowskiego, Filleborna, Norwida, Sierpińskiego, Wolskiego, Zamorskiego. Donoszę wam to, bobyście się może skądinąd o tém do skończenia świata nie dowiedzieli: znam waszą oziębłość dla piśmiennictwa, które się rozwija nad Wisłą i daléj ku wschodowi. Będąc w Poznaniu przekonałem się, że najgłębszy znawca literatury, a nawet księgarz, nie umie wyliczyć ani dziesiątéj części pism peryodycznych i dzieł, które słyną w Warszawie, i o dziełach wyszłych dowiadujecie się przez „Slavische Jarbücher" Jordana. Prawda, że musimy pisać blado — aleć pamiętajcie, że to jedna literatura, jedna ziemia, jedna krew. Rozpoczął się teraz druk poezyi Romana Zamorskiego: „Lesław", poemacik dramatyczny, jest olbrzymiéj myśli; są téż niepospolite utwory liryczne. Paulina z L. Wilkońska gotuje podobno nowe rzeczy: ma ona tu znakomity szacunek tak dla talentu jak charakteru swego.

W Kadyxie wynaleziono nowy środek do wyżywienia ubogich miasta; oddają ich na mieszkanie bogatym, tak jak żołnierzy na kwatery, a mianowicie do owych bogaczów, co nie chcą podzielać idei postępowych i żyć postanowili w średniowiecznych pojęciach. Tu mają prawo żądać pokarmu i napoju, jakotéż na dzień po 3 reale.

Jedna z gazet Nowo-Jorkskich z 20. Lutego zamieściła listę bankructw, która zabrała sześć drobno drukowanych kolumn. Wszystkie te bankructwa wydarzyły się w krótkim czasie w samém mieście Nowym-Jorku.

Podczas sejmu saskiego, podał rektor Grosse petycyą przed niedawnym czasem, w któréj wyraża obawę przed wielką rewolucyą w ziemi naszéj i wniósł aby wystawiono wielką jeneralną gwiazdopatrznią, przywiązaną wielkiemi łańcuchami do ziemi. Ta gwiazdopatrznia ma w sobie mieścić co najkosztowniéjszego na ziemi naszéj i po jednéj parze ludzi ze wszystkich narodów, dla zachowania ich przed zagładą zupełną. Tymczasem w tym gmachu mogą się odbywać kongresy monarchów i wielkie narady. — Jak spodziewać się należało, petycya ta pobudziła wszystkich do powszechnego śmiechu.

W tym miesiącu zgromadzą się w Paryżu najsławniejsi teraz żyjący kompozyci dramatyczni: Rossyni,

Meyerbeer, Donizetti, Spontyni, Auber, Halevy i Adam. Donizetti napisał nową operę: „Marya Rohan,“ którą naprzód we Wiedniu wystawią.

W listach z Krymu czytamy: większa część ogrodowych krymskich, pobiera rocznéj pensyi od 2000 do 2500 rubli, wraz z mieszkaniem i t. d. Ogrodowy Potockiego bierze 4000 rubli. Angielscy rzemieślnicy zatrudnieni budową pałacu w Ałupce Woroncowa otrzymują większe pensye, aniżeli urzędnicy najwyżsi na dworach książąt małych niemieckich. Toż samo można powiedzieć i o lekarzach, biorą oni pensye większe, aniżeli nie jeden z profesorów akademii. Lekarz jenerała Razewskiego pobiera oprócz wolnego mieszkania, stołu i zaspokojeń innych 4000 rubli. Nauczyciele języka francuzkiego i muzyki jeszcze większe mają dochody. Nauczyciel fr. języka u gubernatora Simferopolu ma 8000 r. pensyi; w tém samem mieście był nauczyciel muzyki, który za każdą godzinę daną na fortepianie 10 rubli pobierał. Dla tego też w owych okolicach ogrodowi, nauczyciele i lekarze w ekwipażach sutych lub na najpiękniejszych koniach jeżdżą.

Chinczykowie odznaczają się szczególniejszym rodzajem uzacniania urzędników zasłużonych. Jeżeli urzędnik taki opuści miasto lub umrze, zawieszają jego bóty w sali sądowéj na znak cześci dla niego.

Sztuczne lody, wynalezione w Londynie przez Kirka, coraz więcéj upowszechniają się w pałacach londyńskich tego roku, na których jeżdżą na łyżwach podczas lata. Już teraz zaczynają i po domach sztuczne lody do jeżdżenia na łyżwach zakładać.

MODY.

Paryż, dnia 28. Czerwca 1843.

Gdyby modna kobieta przed dziesięciu laty w teraźniejszym swym ubiorze ukazała się na ulicy, zapewneby każdy przechodzący postawał i patrzał z uśmiechem, widząc ubiór taki w oczach jego śmieszny i bez powabu.

Przed lat dziesięciu nosiły panie i gryzetki paryskie suknie żakonotowe lub muślinowe z fałdowanemi stanikami, obszernemi rękawami, peleryny z podobnéj tkaniny, powłoki gładkie i przepaskę w tym samym kolorze z klamrą. Tkaniny były jednokolorowe, kapelusze pojedyńcze, a gdyby się pióro na niém okazało, krzyczanoby pod niebiosy.

Dziś są suknie czerwone, żółte, zielone lub pomarańczowe; suknie nie będące otwarte lub z boku jak suknie balowe garnirowane, mają szerokie falbany. Mantylle pięknemi falbankami orzucone są z mieniącego taftu, a kapelusz nawet najlichszy wystrojony jest piórami i kwieciem.

Dobry smak jest więc — chwilowém upodobaniem, kaprysem. Ubiór po rannėm wstaniu. Szlafroczek z dreliszku muślinowego, z tkaniny wełnianéj z pasami bazinowemi na tle żółtém i w pasy różowe à la Lucretia — biedna Lucretia także przymuszoną została pojść w modę. Ten kształt à la Lucretia nie jest czém inném jak sposób ściągania stanika u góry i u przepaski we fałdy à la vierge. Ubiór taki, chociaż z wełno-muślinu, bardzo dobrze wygląda i powinien mieć obszerną powłokę, układającą się w fałdy podobnie jak stanik. Chusteczka, malenki krawat, czepeczek żakonotowy z wszytemi paskami i koronkowém obszyciem dokończają ubioru tego bardzo wygodnego i pięknego.

Ubiór na wyjście. — Szlafroczek z taftu z wyłogami, które zachodzą aż do kibici; u wyłogów trzy starożytne wody, które i po powłoce spływają; rękawy mahometańskie, obszerne, nie długie, z pod których ukazują się drugie rękawy z batystu lub gładkiéj krepy; na głowie kapotka krepowa, tulem podszyta, bzem hiszpańskim zdobna.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak z szerokiemi wyłogami i połami zaokrąglonemi. Jasne pantalony. Kamizelka biała.
2. Krótki surdut. Pantalony w kratkę. Kamizelka otwarta z kołnierzem stojącym.
3. Kapotka ryżowa z wysokim marabutem i szeroką wstążką. Szlafroczek z mieniącéj tkaniny z wyłogami podszytemi kolorowo i pasamonami oszyty. Rękawy od łokci do ręki przecięte, zkąd białe bufki batystowe wytryskają.
4. Kapelusz w blado-zielonym kolorze, wystrojony marabutami i szerokiém liściem. Szlafroczek w ciemnym kolorze, suto pasamonami orzucony. Podwójne rękawy z bufkami batystowemi w przecięciach.
5. Ubiór ślubny. Suknia z atłasu przerabianego, z półwysokim gładkim stanikiem, rękawy podobne do ankaszantów; powłokę, obrzeżoną szeroką bufką, zdobi szeroka falbana. Gładka zasłona koronkowa. Myrtowy wieniec, połączony z różami białemi, w kształt diademu ułożony.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*